TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

DLACZEGO LIBERAŁOWIE NIE ROZUMIEJĄ WOJNY?

Mateusz Kukla · 17 maja 2026

Liberalne poglądy sprawiają, że przestaje się dostrzegać zjawiska, które mogą być groźne dla nas wszystkich.

Liberalne podejście do świata często łączy się z przekonaniem, że konflikty zbrojne należą już do przeszłości. W efekcie łatwo przeoczyć procesy, które do nich prowadzą, a gdy zaczynają być widoczne – jest już za późno, aby je powstrzymać. Dlaczego liberałowie nie chcą lub nie potrafią zrozumieć mechanizmów rządzących wojną?

Wyuczona ślepota

Najbardziej banalne i naiwne poglądy na temat wojny usłyszałem od liberałów. Nie dlatego, że byli to ludzie głupi czy naiwni, wręcz przeciwnie – ich umysły działały dość sprawnie, byli oni jednak tak sformatowani przez wyznawane wartości, że nie mogli zrozumieć, na czym wojna właściwie polega, jaka jest jej natura i czym się rządzi.

Często w ogóle nie chcieli zgłębiać tego tematu, dumnie obnosząc się ze swoją ignorancją. Dla nich była ona „absurdem", „szaleństwem" lub „aberracją", a więc czymś niewartym poznania. Wszelkie tematy okołowojenne kwitowali moralnym oburzeniem na bezsens zabijania, głupotę dowódców i naiwność żołnierzy. Jednak pogarda czy obojętność wobec wojny nie chronią nas przed jej wybuchem. A czasem mogą nieść skutki wręcz przeciwnie – nie rozumiejąc wojny, nie widzi się, że nadchodzi, i nie można jej w porę zapobiec.

10–20 lat temu, gdy w Polsce, ale też na całym Zachodzie, dominował liberalny dyskurs, można było odnieść wrażenie, że wojny już nas nie dotyczą, że to ciekawostka historyczna, ewentualnie problem krajów trzeciego świata. Stopniowo zmniejszano więc armie, widząc w nich niepotrzebny wydatek. Twierdzono, że mamy nowe czasy – demokracji, w której lud będzie zawsze głosował przeciw wojnie; globalizmu, w którym konflikty rozwiązują instytucje; oraz kapitalizmu, który rzekomo sprawia, że wszyscy się bogacimy na pokoju i nie „opłaca się" już walczyć.

Oczywiście teraz, gdy od kilku lat mamy wojnę w Europie, a nowe spory wybuchają co kilka miesięcy gdzieś na globie, wydaje się, że wszystko to było jakąś jedną, wielką pomyłką. Liberałowie i lewica mają na swoje usprawiedliwienie jedynie to, że przecież „nikt nie mógł się tego spodziewać" i że „wszyscy" tak myśleli. Jednak czy na pewno tak było?

Jacek Bartosiak co najmniej od dekady opowiadał o strukturalnych problemach między Chinami i USA, mogących doprowadzić do starcia, na przykład w formie *proxy war*, choć jeszcze nie było wiadomo, jak będzie ono wyglądać, był on w zasadzie pewny, że dojdzie do wzrostu globalnych napięć. Jarosław Ka-

czyński już w 2008 roku ostrzegał, że Rosja może kiedyś zaatakować Polskę (co budziło u ówczesnych liberałów śmiech lub oburzenie). Zresztą za kolejnych rządów PiS-u resort Antoniego Macierewicza utworzył Wojska Obrony Terytorialnej, na długo przed tym, jak konflikt na Ukrainie przybrał obecną skalę.

Nie odbierając nic wymienionym wyżej nazwiskom, nie sądzę, żeby mieli oni jakieś nadprzyrodzone zdolności profetyczne. Ich działania i wypowiedzi były raczej wynikiem określonego sposobu myślenia, który najwyraźniej daje lepsze możliwości analizy światowych napięć niż ten oparty na liberalnych założeniach.

> Konserwatywna prawica zakłada bowiem, że światem rządzą pewne niezmienne reguły. Skoro wojny wybuchają od zarania dziejów i pojawiają się nawet w świecie zwierząt, to jest to zagadnienie istotne, od którego nie uciekniemy i które trzeba badać – bo może się znów pojawić w historii. Przy czym nie jest to afirmacja wojny czy chęć jej wywołania, ale pogodzenie się z faktem, że ona istnieje i trzeba być na nią zawsze gotowym.

Efekt motyla

W czasie, gdy konserwatyści studiują wojnę jako zjawisko ponadczasowe, liberałowie wierzą, że wojny są jedynie wynikiem decyzji pojedynczych ludzi i że nie ma żadnych procesów ekonomicznych czy politycznych, które do nich prowadzą. Ta wiara przejawia się choćby w, dość powszechnej w popkulturze, fantazji, że gdyby cofnąć się w czasie i zabić Hitlera, to nie wybuchłaby druga wojna światowa. W końcu – jeżeli nie byłoby osoby, która podjęła decyzję o wybuchu wojny, to ta przecież by nie wybuchła, czyż nie?

Jeśli jednak pójdziemy dalej tym tropem, okaże się, że pierwsza wojna światowa wybuchła bez Hitlera. Kogo więc trzeba by zabić, żeby jej zapobiec? Kto był jednostkowym winnym jej wybuchu? Czy był to „szalony" niemiecki cesarz, „dumny" car Rosji, a może serbski rewolucjonista, który dokonał zamachu w Sarajewie? Czy należałoby zabić wszystkich, a może jednego? A może wystarczyłoby, że arcyksiążę pojechałby inną trasą? Wiara w nadrzędną sprawczość jednostki prowadzi liberałów do właśnie takiego, chaotycznego, poszukiwania pojedynczych decyzji, które należało zmienić w danym momencie, aby zapobiec katastrofie.

Problem z tym myśleniem jest taki, że wchodzi ono na pole teorii chaosu i efektu motyla. Suma pojedynczych decyzji, przypadkowych zdarzeń i zależności między nimi jest tak duża, że nie sposób ich zebrać razem i wyciągnąć z nich jakichś wniosków. W wyniku tego liberalna opowieść o wybuchu pierwszej wojny światowej to teatr omyłek i zbiegów okoliczności, autorzy tej narracji są z niej jednak dumni, bo rzekomo wykazuje, jak „głupia" i „absurdalna" jest wojna.

Choć takie myślenie jest interesujące poznawczo, nie daje nam żadnych narzędzi do zapobiegania wojnom i ich analizowania. W tym ujęciu winnego można wskazać dopiero po fakcie, kiedy ma się już potrzebne dane, ale nie ma się już możliwości działania. Gdybyśmy chcieli to zastosować w praktyce, to żeby zapobiec wojnie na Ukrainie należałoby zabić Putina jakieś 10 lat temu, w trakcie jego wizyty w którymś z zachodnich krajów. Z tym, że kto wpadłby na taki pomysł i odważyłby się go zrealizować?

Wątpliwe jest też, czy nawet wtedy by się to udało. W końcu po przegranej kajzerowskich Niemiec zrealizowano właśnie ten model przeciwdziałania wojnie – usunięto problematycznego cesarza i zmieniono ustrój kraju na demokratyczny. W praktyce jednak odsunięto jedynie kolejną wojnę o 20 lat.

Zresztą także współcześnie nieważne, czy w USA rządziły „jastrzębie" w rodzaju Busha lub Trumpa, czy „gołębie", tacy jak Obama czy Biden – każdy z nich zatwierdzał bombardowania i interwencje zbrojne w różnych częściach globu. Zmieniała się co najwyżej retoryka i otoczka medialna, ale wojsko działało tak samo.

Dlatego zasadne jest sądzić, że są pewne szersze mechanizmy prowadzące do wojen, wynikające z pewnego układu sił i relacji między państwami, a nie z tego, czy rządzi jeden czy drugi polityk. Liberałowie są dlatego zaskakiwani wojną, bo patrzą na jednostki, a nie na procesy, jakich są udziałem – patrzą na drzewa, ale nie widzą lasu. W tym czasie prawicowcy, ale także i niektórzy lewicowcy, postrzegają historię raczej przez pryzmat sił rządzących światem. Nie mają problemu z tym, by dostrzec, iż ludzie są częściami narodów, klas społecznych czy grup interesów, rządzących się określoną logiką.

> A z sumy jednostkowych decyzji tworzy się określona dynamika, której nie da się zmienić jedną ustawą czy wystąpieniem charyzmatycznego przywódcy.

Interpretacja wojen światowych w duchu wielkich procesów jest więc zupełnie inna – sprowadza się do opisu napięć ekonomicznych między państwami centralnymi, zwłaszcza Niemcami, oraz mocarstwami kolonialnymi. Cesarstwo miało potężny przemysł, ale brakowało mu dostępu do surowców i rynku zbytu. Globalne przepływy kapitałowe kontrolowały wówczas głównie Francja i Wielka Brytania. Istniała nierównowaga systemowa, która pchała do wojny obie strony, niezależnie od tego, kto akurat sprawował rządy.

W tej opowieści staje się też dość jasne, czemu po pierwszej wojnie wybuchła druga – bo problem Niemiec nie został rozwiązany. Trzecia Rzesza miała w sobie tę samą chęć ekspansji co wcześniej i tak samo jej apetyt ograniczali potężni sąsiedzi. Zmieniło się to dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy porządek w Europie został przebudowany przez Amerykanów. Zarówno Niemcy, jak i dawne mocarstwa kolonialne zostały wciągnięte w strefę zachodniej wymiany handlowej. Powstała nowa równowaga, w której nie było miejsca na wojnę.

Dlatego gdyby Hitler pojawił się w Niemczech na przykład w latach 60., nie doprowadziłby do żadnej wojny – bo nie było do niej podstaw. Z drugiej strony – gdyby Hitler umarł w latach 30., zapewne pojawiłby się inny przywódca, który stanąłby na czele Niemiec i poprowadził je do zmiany ładu światowego. W takim rozumieniu wojna nie jest dziełem przypadku, ale czymś, co rządzi się swoimi prawami, co można przewidzieć i temu zapobiec. Jednak nie poprzez wpływanie na pojedynczych polityków, ale poprzez zmianę relacji ekonomicznych i politycznych między państwami.

Oczywiście wpływanie na otoczenie, w jakim żyją ludzie – zmiana powiązań między nimi jest znacznie trudniejsza niż wymiana jednego czy drugiego polityka. Dlatego też tak trudno zapobiegać wojnom. Wymaga to olbrzymich przesunięć na wielu polach, idących w poprzek wielu grupom interesu. Stąd też można odnieść wrażenie, że gdy nagromadzone napięcia są zbyt duże, a środki do ich łagodzenia zbyt

małe, to wojna staje się wręcz czymś nieuniknionym,

Nie jest oczywiście tak, że jednostki nie mają żadnego znaczenia. Ktoś inny niż Hitler, np. jakiś generał pruski, arystokrata czy komunista, mógł mieć zupełnie inny pomysł na wojnę – może miałaby ona mniej zbrodniczy charakter, inny przebieg lub rezultat. Wolna wola ludzi sprawia, że zawsze mają oni pewne pole manewru – z tym, że zazwyczaj znacznie mniejsze, niż chcieliby je widzieć wyznawcy indywidualnej sprawczości polityków.

Strach przed wielkimi procesami

Osoby o liberalnych poglądach mogą mieć nawet pewną psychologiczną blokadę przed przyjęciem opisanej wyżej wizji świata. Przekonanie o istnieniu wielkich procesów historycznych kłóci się bowiem z ich wiarą w możliwość samorealizacji jednostki. W końcu albo człowiek jest „kowalem własnego losu", albo jego życiem rządzą szersze zjawiska, na które nie ma wpływu.

Przekonanie o indywidualnej odpowiedzialności za swoje położenie dodatkowo służy w liberalizmie jako wymówka do ignorowania nierówności społecznych. Nie trzeba się nimi martwić, jeśli uzna się, że biedni ludzie sami są sobie winni lub wręcz, że „wybrali" bycie biednym, bo za mało się starali, nie wstawali do pracy wystarczająco wcześnie lub kupowali produkty konsumpcyjne zamiast inwestować pieniądze. Działa to też w drugą stronę – osoby z zamożnych domów, które dostały dobrą edukację, opiekę zdrowotną, wsparcie finansowe i znajomości, jeśli osiągną sukces – mogą uważać, że zawdzięczają go wyłącznie sobie, bo w jakimś momencie życia podjęły dobrą decyzję.

Przyjęcie do wiadomości, że za położenie nie tylko pojedynczych osób, ale i całych społeczności odpowiadają szersze procesy gospodarcze, oznacza utratę tego komfortu (lub dyskomfortu) psychicznego nakładającego na jednostki całość odpowiedzialności za ich położenie.

W czasach dobrobytu i pokoju łatwo jest wierzyć w swoją osobistą sprawczość, system społeczny usuwa bowiem z pola widzenia wiele przeszkód i problemów. Jednak w obliczu kataklizmów, kryzysów czy właśnie – wojen, człowiek nagle uświadamia sobie, że nie jest monadą, która żyje sama dla siebie, ale że jest zależny od innych ludzi i sieci złożonych czynników, znajdujących się poza jego kontrolą.

Cały misternie budowany obraz świata, w którym każdy człowiek w pełni decyduje o tym, co go spotyka w życiu, sypie się jak domek z kart. Wojna, będąca procesem o olbrzymiej sile oddziaływania – i to w sposób najokrutniejszy, poprzez dosłowne pozbawianie ludzi życia – jawi się więc nie tylko jako horror związany z cierpieniem i śmiercią, ale jako zagrożenie ontologiczne dla porządku świata. Dlatego tak trudno jest przyjąć do wiadomości, że ona istnieje. Łatwiej uznać ją za absurd, godzący w istotę rzeczywistości. Z tego lęku wynika też, obecne zwłaszcza wśród liberałów, przekonanie, że jeśli ktoś interesuje się wojną, bada ją lub jest po prostu zawodowym żołnierzem – to jest zagrożeniem dla świata. Przypomina on bowiem o istnieniu tego zjawiska i możliwości jego pojawienia się.

Z tego też biorą się przekonania, iż samo istnienie armii prowokuje wojny lub że jeżeli ktoś uczy się o wojnie, to pewnie chce do niej doprowadzić. Przodują w tym głównie lewicowo-liberalni celebryci, artyści i publicyści, którzy czasem pozwalają sobie nawet na ostrzejsze komentarze, np. że żołnierze to zbrodniarze, generałowie to kretyni, a stratedzy marzą jedynie o tym, by utopić kraj we krwi. Nie da się ukryć, że takie przypadki istniały w historii, a wojna sama w sobie, wyzwala w ludziach najgorsze instynkty. Jed-

nak nie da się zatrzymać wojny, nie badając jej i się na nią nie szykując. Jak mawiali starożytni Rzymianie: *Si vis pacem, para bellum*.

Rozróżnienie między szykowaniem się do wojny a dążeniem do jej wybuchu dostrzegał już Sun Zi – słynny starożytny chiński strateg. W swoim traktacie o prowadzeniu wojny przestrzegał: „Kto kocha wojnę, doprowadzi kraj do zniszczenia, kto pożąda zwycięstwa, doprowadzi go do niesławy. Wojny nie trzeba kochać i zwycięstwa nie trzeba pożądać".

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=vz73JDHEbkY

Oryginał: https://nowa.nlad.pl/dlaczego-liberalowie-nie-rozumieja-wojny/

WSPIERAJ Nowyład

LOJALNI WOBEC POLSKI

Bronimy polskich interesów i dbamy o dobro wspólne, a partyjne interesy zostawiamy innym. Taką niezależność zapewniają nam darczyńcy. Dołącz do ich grona.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

ALBO ZWYKŁYM PRZELEWEM

Fundacja Narodowy Instytut Społeczny

14 1020 1185 0000 4102 0302 3074

Darowizna na cele statutowe

Zeskanuj telefonem, aby wesprzeć